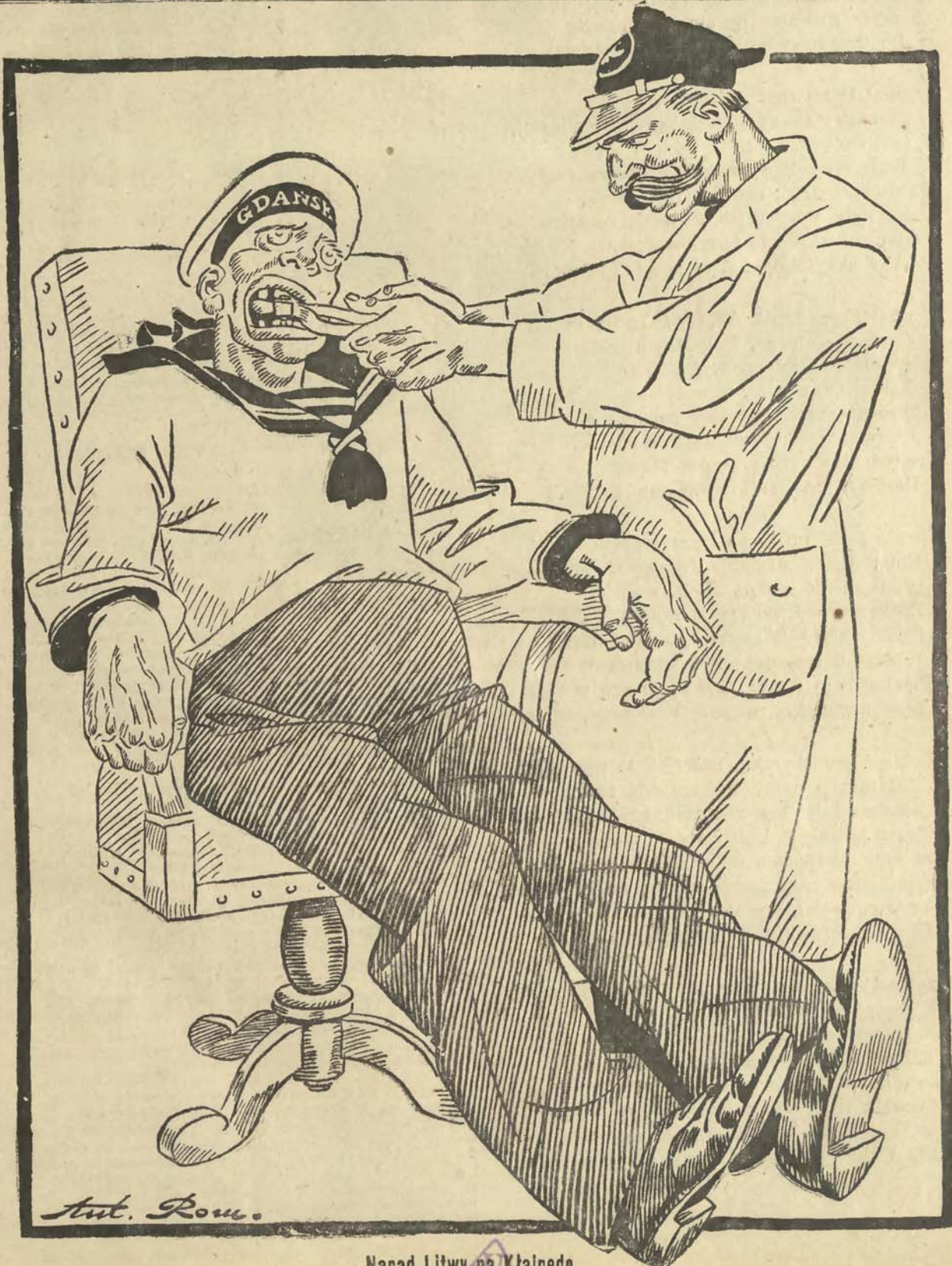


REDAKCJA
Kopernika 34
i Wspólna 45.
ADMINISTRACJA
Biuro Ungra
Senatorska 12.

MUCHA

PRENUMERATA
w Warszawie
i na prowincji
kwartalnie
marek 3000.
Konto czekowe
P. K. O. № 4680



Napad Litwy na Kłajpedę.

Polak. — Niech cię nie neści łajdactwo Litwy. Jak zajdzie potrzeba, to kły ci jeszcze wyrwać potrafię!

Mściwym.

Nad Polską czarne zbierają się chmury,
I świeże troski, zmartwienia i biedy
Płyną z Zagłębia nadreńskiego Ruhry,
I z bałtyckiego zakątka Kłajpedy.
Litwin i Niemiec, dwa piekielne duchy,
Z zuchwalstwem idą na nas niepojętem,
A my? Kowamy na siebie łańcuchy
I potrząsamy Państwa fundamentem.

Zginął Prezydent z szalonego ręki,
Pierwszy Prezydent Polski Niepodległej,
I jakby niedość już tej jednej męki,
Wala się odtąd gmachu Państwa cegły.
Jakiś szal dziki, czy surma bojowa,
Porwały wszystkich, zwyrodniały serca
I słyhać wkoło te jedynie słowa:
„Tyś skrytobójca! Tyś zbój! Tyś morderca!”

Zginął Prezydent! W tej żalosznej dobie,
Co dlań należne, Polska mu oddała,
Ale czas wreszcie pomyśleć o sobie,
Zginął Prezydent, lecz Polska została.
Kłótnie, wymysły, ciężkie oskarżenia,
Którymi dzisiaj cała Polska płynie,
Prezydentowi nie powrócą technienia,
Uczynią jeno, że kraj za nim zginie.

To dla każdego jasne i przejrzyste,
Komu gniew wściekły duszy nie wypaczy,
I tylko dziwić można się zaiste,
Że są rodacy, co myślą inaczej.
To partyjnicy! Wściekli, gniewni, butni,
Wołają dziko, uparcie i władnie:
„Niechaj kraj zginie, byleby trwać w kłótni,
Byle zwyciężyć, niechaj kraj przepadnie!”

„Zgnieść przeciwnika, ach, jak to powabnie!”
Walczących partji wykrzykują tuzy.
O nieopatrzni! Przez kłótnie kraj słabnie,
Przez kłótnie z Polski mogą stać się gruzi.
Kto kraj miłuje, ten umie złość schować,
Miał się w oskarżeń błocie nurzać grząskiem,
Bo nie rozwałać murów, lecz budować
Obywatela świętym obowiązkiem.

Gdyby Prezydent nasz mógł powstać z trumny,
I zoczyć Polski widnokrąg ponury,
Jak trzeszczą wszystkie państwowe kolumny,
Toby do grobu wstąpił po raz wtóry.
Lecz nimby życie w piersiach mu zagasło,
Przekleństwa wyraz rzuciłby piekielny
Tym, co śmierć Jego biorąc za swe hasło
Dla Polski całun dzierzgają śmiertelny.

W. Buchner.



Po zajęciu Kłajpedy.

Bolszewik do Litwina — Słuchaj, ty głupi Żmoguś. A jakby ci ententa chciała nawymyślać, to odeslij ją do mnie.

Pokojowa odezwa stronnictw sejmowych.

Obywatele! Rodacy! Polacy!
Przeciwnicy Nasi wzrastają na siłach i grożą Nam,
Nam, którzy do ciebie narodzię, przemawiamy z wyżyn
Naszych.
Wzywamy ciebie, narodzię, do wystąpienia stanow-
czego przeciwko przeciwnikom Naszym, którzy przeci-
wko Nam występują.
Narodzię, do bronii! Bij, rznij, rzucaj laskami
i kamieniami w przeciwników Naszych.
Wzywamy cię do tego w imię najświętszych idea-
łów, streszczających się w słowach: My, a nigdy oni.
Jeżeli zwyciężysz Naszych wrogów, otrzymas
błogosławieństwo Nasze, jeżeli zaś wystąpienie twój
zrobi kłapę, wyrzekniemy się was wszystkich, którzy
nas posłuchacie. I przeklnie was nasz Wódz general-
ny i gazety nasze i cała partja Nasza. Amen.

Treny Niekochanowskiego.

Kulturo nasza polska! Gdzieś się nam podziała?
Czy cię wojny okrutnej obalili działa?
Czy Niemiec wraz z kłamkami zabrał w rekwizycji,
Czyliś z głodu umarła na polskiej pozycji,
Czy bolszewik cię zatrul smrodem swej „bibuły”,
Czyli Cię senatorzy z Nalewek zapluły?
Niewiem zgoła! To jeno stwierdzić smutnie muszę,
Że cię dzisiaj nie spotkać w świata zawierusze.
Z Chamstwo Wszepochętne króluje nam dzisiaj
A z nim — Płytkość, Miernota i Podstępność lisia.
To jeno widzę wkoło, że nas brud zalewa,
Brud w duszach i brud w domach, nie gorzej od chlewa,
To jeno wszędy widać, że żyjem, jak piana
Brudna, uciechy żadna, pusta, rozwrzeszczana.
Dancing, giełda, paseczek, sprośność, spekulacja —
Oto dnia dzisiejszego drogowskaz i racja,
To kosmopolityczno-żydowskie bagnisko
Zalewa całą Polskę i plugawi wszystko,
A Polska Myśl, Kultura gdzieś tam w głębi drzemie
Nie śmiejąc czy nie mogąc wyjść śmiało na ziemię.
„Plujmy na tę skorupę!” jako wieszcz powiada
I szukajmy Polskości, co gdzieś w cień zapada!
Bo tak mi do Niej tęskni i serce i dusza,
Że pragnę się ratować; — włożeniem kontusza.
I na Nowy-Swiat wyjściem w czerwienu cholewek
Ku zgrozie senatorów wszechmocnych Nalewek!
W tym stroju szowinisty, z wielkim w sercu buntem
Pójdę płakać nad Polską pod królem Zygmuntem.

Kalendarzyk na rok 1923.

I tego roku w każdy *poniedziałek*
Prasa Sejmowi wsypie sporo *palek*.

Również, jak codzień, w tym roku we
[wtorki,
Wszystkim szubrawcom pęcznić będą
[worki.

A człek uczciwy, czy stary, czy młody.
Z braku gotówki suszyć będzie w *środy*.

Paskować będzie Maciej, Kuba, Bartek
Przez rok okrągły, a zatem i w *czwartek*.

Ci, co wciąż miny mają niewiniątek,
Kupcy, podniosą ceny w każdy *piątek*.

Chociaż to szabas, lecz przysła nam
[notę,
Rosja Sowiecka, w każdziutką *sobotę*.

Pójdą paskarze wyblagać w kościele
Zwyżkę na towar w święta i w *niedzielę*.

Zielone majaczenia.

Tandeta, wszędzie tandeta!
Tandetnie zszyty Traktat Wersalski rozleciał się na osobne arkusze, stronicie i paragrafy. Tandetnie zlepiana Ententa rozkleja się, aż lakier pęka.

Odwieczny niemiecki bóg poganański (obecnie zrepublikowany) zaciera swoje odwieczne niemieckie ręce i śmieje się odwiecznie niemieckim śmiechem:

— „Endenta”—woła — „Traktat Fersalski”!

Na stolicy świata zasiedli wielcy wybrańcy narodu: prezydenci, premierzy, pary, lordy i milordy, wydeli dumne policzki i powiadają:

— Mądrze rządźmy światem.
Mądrze prowadziliśmy wojnę i mądrze zrobiliśmy pokój.

Ale ten pokój ma wiecznie niezadowolonych sublokatorów.

To Turku pobili Greka, to Moskal rzuca przez płotek proklamację do Indji, Mezopotamji, Persji i Turcji, to Niemiec robi gazy i obstrukcję w sprawie odszkodowań... A nawet sami najmoźniejsi i najmędrsi nie mogą jakoś żyć w zgodzie: to pokłóca się o jaki węgiel, to inną naftę.

Bożek Mars patrzy z góry i aż podskakuje z radości:
— A to sprytnie urządzili—powiada — Tu jakieś wolne miasto, tam neutralna cieśnina, tu połamana granica z zakrętasami po plebiscycie, tu arabom syjonizm zastrzykują, tam Klajpeda, tu odszkodowania, tam korytarz. Ach, co tu roboty dla mnie za parę lat!

A na fotelach ministerjalnych siedzą głowy ministerjalne i dmą dumnie w wąsy:

— Mądrześmy urządzili świat po wojnie! Uul Mądrzel!

— A najmądrzejsze jest to, że ja—zwyciężony, zaczynam zwyciężać—mówi cicho Miller—Gott belohne England! Marjanna krzywi nos, bo od strony Szprewy zalatuje coraz wyraźniej gaz trujący i zapach handgranatów, a o długach ani dudul!

— Kiedy tak!—powiada Marjanna — to ja wkroczę. Belgja, choć z mną! Wkroczymy w Ruřę.

— Wkroczymy!—mówi Belgja.

A pan Litwakajtys Kowieński ryczy:

— I ja też wkroczę!

— Gdzie?—pytają się wszyscy—Do Wilna?

— E, nie! W Wilnie mógłbym dostać silne lanie. Ja sobie wdepnę w Klajpedę. Ja—powiada—tyż takiesamo jestem państwo: inni wkraczą—to i ja mogę.

Zmartwili się mądrzy mężowie i posłali okręty na pomoc Klajpedzie, ale jeden szepnął drugiemu:

— Tu nie o to idzie. Nie o głupią Klajpedę, Litwakajtysa. Tu idzie o to, że cały ten interes pokojowy jest tandetnie zszyty...

Tandeta i już. Rozkleja się „po wsiem szwam”.

Czy możliwa jest w Polsce poprawa finansów, czyli jak płaca podatki.



I. Francuz. — Dają do Skarbu niewzywany, ale Marjanno droga, odbierz to wszystko, co się należy nam od boszów. (Ciąg dalszy, str. 4 i 5).

Notatnik.

Pan Józef, urzędnik IX kategorii, gdy już w połowie miesiąca nie miał ni marki przy duszy, wziął się do przeglądania wszystkich swych licznych kieszeni w nielicznej garderobie, a nuż się co znajdzie?

I znalazło się.

Nie pieniądze wszakże, a mały, zniszczony notatnik, od Bóg wie jakich czasów spoczywający w zaśmieconej czeluści kieszeniowej.

— Ho, ho!—mruknął zdziwiony pan Józef.—Toż to mój przedwojenny notatnik, w którym wpisywałem rozchody i dochody.

Zrazu bezmyślnie, ot tak z przyzwyczajenia, jął przetrzącać kartki.

— Pensja za luty 25 rubli—wyczytał na którejś z linijek.—Dwadzieścia pięć rubli—powtórzył i zastanowił się.—Dwadzieścia pięć... mało, bardzo mało. Teraz, mój notatniczku, człek coś więcej wart! Teraz dwieście pięćdziesiąt tysięcy na miesiąc fasuje... dwieście pięćdziesiąt tysięcy... tysięcy, uważasz, notatniczku!

Pan Józef z góry patrzył na wyszarżane świadectwo niedoceniania w okresie przedwojennym jego szacownej osoby. Wtem na tejże samej kartce ujrział zanotowane:

Za mieszkanie za luty	3 rb.
Opał i światło 2 rb.
Usługa 50 kop.
Obiady 8 rb.
Herbata i bulki 2 rb.
Czarne kawki 2 rb. 50 kop.
Paradyz na operze 1 rb. 20 kop.
Pranie 80 kop.

Razem 20 rb.

Pozostało 5 rb. Odłożono do skarbanki w lutym 5 rb.

Pan Józef westchnął i z wielkiem uszanowaniem dołączył czcigodny notatnik przedwojenny do swoich historycznych pamiątek.



II. Niemiec. — Ja... ja... es ist schwer, ale piacić trzeba... man muss zahlen. Obowiązek!

U berlińskiej pani de Thöbes.

Nazwisko jej Lina von Windmühle, mieszka w Berlinie na Revancheplatz, w domu znanym pod nazwą *sum strammen Füsiler*.

— Co pani może mi powiedzieć o przyszłości Europy w roku 1923?—zapytałem.

— Zaraz, tylko zajrzeć do szklanki z wodą—odrzekła Lina, co powiedziawszy, odkorkowała butelkę i nalala jej zawartość do stojącego przed nią kufla.

— Przecież to piwo, nie woda?—zawołałem.

— Natürlich—odparła.—Mówi się woda, a czyta się piwo. Nie zapominaj pan, że tu Berlin nie Warszawa.

Uczyniwszy parę potężnych łyków z kufla, Lina von Windmühle zajrzała do resztki, która się kołatała na dnie kufla i rzekła.

— Widzę, widzę olbrzymie przewroty! Marjanna leży, jak długa, a nad nią stoi ogromny...

— Co też pani opowiada—zawołałem, rumieniąc się. Proszę takich rzeczy nie mówić, ja tego nie lubię.

— Ruhe—krzyknęła Lina. — Marjanna czyli Francja leży na ziemi, jak długa i poszarpana, a nad nią stoi z jednej strony ogromny *Bolschewick*, z drugiej strony Niemiec i obdzierają ją z węgla i ze skóry. Na zamku cesarskim w Berlinie siedzi nasz drogi następca tronu, jako cesarz w koronie i trzyma w jednej ręce Anglię a w drugiej Włochy. Od czasu do czasu stuknie ich głowami o siebie i śmieje się.

— Co więcej widzi pani w tym kuflu?

— Widzę Turka, jak w złotych pantoflach, z bańką ropy mezopotamskiej pod pachą, jedzie złożyć hołd nowemu niemieckiemu Kaiserowi.

— A Belgja?

— Szukam jej, lecz nie mogę znaleźć. Aha, jest.

— Gdzie?

— W okolicy Głańska. Cała Belgja wraz z Antwerpją, Bruksellą i Ostendą przeniesiona przez niemców z morza Północnego na Bałtyk, który okrutnie wzbiera.

— Dlaczego?
— Siedem milionów belgów siedzi w Gdyni nad brzegiem i placzą bez przerwy, lejąc łzy wprost do morza.

— Dobrze, że mi pani przypomniała Gdynię. Co się dzieje z Polską?

— Z Polską? Z Polską? Wiem! Saisonstaat. Zaraz zobaczę.

Lina von Windmühle wetknęła oczy i nos do kufla.

— Widzę nad ziemią polską kurzawę. Kłębi się i gotuje się, jak rosół w garnku, po powietrzu latają jakieś przedmioty.

— A co? Może odezwy nawołujące do jedności i zgody?

— Nie, to nie są odezwy. To są... to są... już widzę! To są zęby, nosy, ręce i nogi, włosy, kije, noże, kłonicy, kastety, rewolwery. Tam pod kurzawą biją się aż strach. Zatrzęsienie w całym kraju! Awantury i bójkil

To rzekłszy Lina von Windmühle wyjęła twarz z kufla i wyciągając rękę po pieniądze, rzekła.

— Partja!

Chciałem jej nakłaść do łapy kupkę marek niemieckich, ale wieszczka z nad Szprewy, zawołała krzykliwym głosem.

— Co mi daje? Marki niemieckie? Pan chyba ma pomieszanie umysłu, albo pan nietutejszy. Lächerlich! Marki niemieckie! Marki niemieckie przestały już być w Berlinie monetą obiegową. Używa się ich do wylepiania kuferków, albo jako etykiety do piwa. Należy mi się pięć dolarów. *Zahlen!*

Pomyli się.

— Nie wiesz, dla czego Litwa Kowieńska rzuciła się na Kłajpedę?

— Bo myślała, że Polacy, to nie ludzie z krwi i kości ale znany instrument.

— Jaki?

— Cymbały; bądź jednak pewny, że się Litwa pomyli.

Czapka i kapelusze.

Czapka z kapeluszem raz się posprzeczała, która z nich do głowy większe prawo miała, Sypią argumentów moc jakby z rękawa, Z etyki, historii, polityki, prawa, Jak, kiedy, na które ucho się nadziewa, Czy ważniejsza prawa, czy też strona lewa, Lecz o jednym tylko nie było tam mowy, Ażeby o zdanie zapytać się głowy.

U wydawcy.

— Nie wydał by pan mojemu tomu nowel?

— A czy podczas stanu wyjątkowego siedział pan w więzieniu mokotowskim?

— Ja? Nie siedziałem.

— To wyjeżdżaj pan stąd. Ja wydaję obecnie jedynie prace tych, którzy mieli do czynienia z panem Anuszem.

Najnowsze porównanie.

— A co słycać z pańskim synem?

— Nic dobrego. Chłopak mój jest zupełnie, jak marka polska; codziennie upada niżej i niżej i niebawem skończy gdzie pod ławą.

Określenie.

— Czymógł bym się widzieć z panem dyrektorem?

— Redzę, przyjdź pan innym razem; nasz dyrektor jest dziś tak kwaśny, jak chleb ze sklepów magistrackich.

Zagadkowy pierścień.

(Scenariusz filmowy).

Zachęcony niebyszałem powo-
dzeniem, jakiego doznał polski film
„Tajemnica przystanku tramwaj-
owego”, jeden z naszych współpra-
cowników nadesłał do redakcji na-
stępujący scenariusz filmowy p. t.
„Zagadkowy pierścień Dalaj-Lamy”.

Osoby: *Małgorzata Priszcz*, si-
ła pomocnicza XII Dep. chin. Spr.
Salomon Lufcik, krwiożerczy li-
chwiarz z Okopowej, hr. *Ka-la Fio-
ri*, attaché poselstwa syamskiego,
Tonietta Aleinna, tancerka z kabare-
tu „Czarny kot z pęcherzem”, *Da-
laj Lama*, autentyczne wcielenie
Buddy, *Szyller-Swawolnik*, profesor
czarnej magii.

Akt I. Ulica wielkomijska.

Przed wspaniałym pałacem zajeżdża
eleganckie auto z firmy „Samopol”.
Wsiada hr. Ka-la Fiori w paltocie
z firmy „St. Cichocki”, oraz lakie-
rach z magazynu „Struś i Kiel-
szek”. Twarz ma znudzona, w
drzwiach spotyka się z Tonietą
Aleinna. Ona mu podaje różę. On
ją całuje. Szofer wyjmuje rewol-
wer i odbiera sobie życie. Zbie-
gowisko. Pogotowie. W salonie
siedzi lichwiarz Salomon Lufcik
i przegląda weksle. Hrabie mu gro-
zi ruina.

Akt II. Profesor ścisłych nauk
tajemnych z polykaniem ognia, Szyl-
ler-Swawolnik odbiera telefon. Na-
pisy:

— Mówi attaché syamski. Mu-
si pan zahypnotyzować lichwiarza.
— Zgoda! Sto tysięcy!
— Pięćdziesiąt!
— Siedemdziesiąt pięć! Ostat-
nia cenal Samego mnie drożej kosztuje.

— Zgodal! Przyjedź pan o piątej.

Do ponurej izby lichwiarza
wchodzi tajemnicza postać w mas-
ce i przynosi mu pierścień pod zastaw. Salomon
ogląda pierścień i uśmiecha się złowrogo. Napis:

— To jest pierścień Dalaj-Lamy!

Akt III. Na scenie kabaretu „Czarny kot z pę-
cherzem” tańczy T nieta. Opuszcza głowę niżej nóg i za-
dziera nogi wyżej głowy. Z łoży 1-go piętra wychyla
się pobladała twarz Małgorzaty Priszcz. Napis:

— Nędznico! Biada ci!

Na twarz tancerki chlusta pół kwarty kwasu siar-
czanego, kwatarka solnego i garniec azotowego.
Trumna i świece. Widok Zakopanego o zachodzie
słońca. Wyścigi na polu mokotowskim. Lichwiarz
przyrządza sobie herbatę. Przegląd wojsk na placu
Saskim

Akt IV. W mieszkaniu Małgorzaty Priszcz. Li-
chwiarz sypie przed nią stos złota, przyczem całuje. Od-
słonięcie „Pomnika Wdzięczności” na Krakowskim-
Przedmieściu. Hrabia Ka-la Fiori jedzie sleepingem.
Zapala papierosa. Na stacji podają mu depeszę. Napis:

— Żyrardów milion dwieście. Starachowice słabiej.

Akt V. Przez wybite okno do izby lichwiarza wchodzi
Szyller-Swawolnik. Usiłuje go hypnotyzować. Lichwiarz
broni się pierścieniem Dalaj-Lamy. Szyller-Swa-
wolnik ucieka. Pochód inwalidów do Sejmu. Protezy
z firmy „Kochański”. W górach Tybetu. Spotkanie
hrabiego z Dalaj-Lamą, który go strąca w przepaść.
Lichwiarz wyskakuje oknem. Pierścień potyka kura
Małgorzata Priszcz robi sobie manicure. Widok kolumny
króla Zygmunta. Giełda. Dolary idą w górę. Na stacji
tramwajowej w Mokotowie dwóch konduktorów roz-
mawia, trzeci śpi i chrapie. Panorama Skolimowa od
strony Chylic. Pyreneje z widokiem na kopalnię sza-
firów w Peru. Lloyd-George pije dżyn. Napis:

— A szczęście było tak blizkie.

Widok teatru Rozmaitości w czasie odbudowy.
Dalaj Lama modli się w świątyni.

KONIEC.



III. Polak. — Co? Podatków ci się do skarbu zachciwa? Uto masz
mój podatek.

Szympons.

Ukazał się poraz pierwszy w teatrze.

Siedział w pierwszych rzędach, z nogą wdzięcznie
założoną i z niezwykłe frapującą dyskretnością prezen-
tował połysk lakierków i brylantów.

W trakcie przedstawienia ziewał czarująco, przy
spuszczaniu kurtyny bił umiarkowane brawo, w antrak-
tach doskonale lornetował puste łoże i uśmiechał się
znudzona połową doskonale wygolonej twarzy.

Potem zaczęło go spotykać na pryncypalnej ulicy.
Ubrany był w eleganckie palto ze wspaniałym fu-
trzanym kołnierzem, palił wyśmienite papierosy.

To musiał być ktoś, kto zarabia w obcokrajowej wa-
lucie, tak mówiono o nim.

I spotykano go wciąż. Na koncertach, na balach,
w kinach, w kabaretach, w restauracjach, w kawiar-
niach, na uroczystościach galowych, a wszędzie i za-
wsze zachowywał się czarująco i imponująco.

Ponieważ nikt nie wiedział jego nazwiska, zaczęto
przypuszczać, iż jest to ktoś... ktoś... no, ktoś bardzo
wpływowo... ktoś... zaszczycający nasze miasto inco-
gnito.

I brano przykład z tej osoby i naśladowano ją
we wszystkim, za wzór niedościgniony mając.

A zdarzyło się razu pewnego, że z jednej szkółki
akurat po lekcji zoologii, wyszły dzieci na ulicę.

Przez ulicę przechodził właśnie ów ktoś.

Dzieci spojrzwały na ktosia i zaczęły wołać:

— Patrziel! patrziel! Szympons chodzi po ulicy!

A przechodnie zawstydzili się bardzo.

Tak, tak! Dzieci miały rację: był to szympons przy-
wieziony z ostatniej wyprawy do Kongo przez angiel-
skiego przyrodnika Charry Kearton'a!

Szympons ten jadł, pił i palił papierosy... cóż dziw-
nego, iż wzięto go za nadzwyczajnego człeka w na-
szych czasach?



W Warszawie.

- Czego on tak się drze?
- Litwini zajęli Kłajpedę.
- No to co jest? My żydzi zajęliśmy całą Polskę, a nikt z nas nie robi z tego tyle hałasu.

Z galerii przebrzmiałych typów.

Subjekt od Stępkowskiego.

- Powitać pana Pawła, jak zdrowie?
- Zdrowie? Z czego tu proszę pana mego może być zdrowie! Może z obiadów urzędowych, w których tłuszczu jest mało, za to niezadowolonia i fumów restauratorskich i kelnerskich aż nadto? Nie tak, proszę pana mego bywało, kiedy się to było subjektem w handlu ś. p. pana sędziego Antoniego Stępkowskiego na placu Teatralnym. To były czasy, to było życie i co najważniejsze, to byli ludzie! Pan dobrodziej da wiara, nasz stróż domu, żeby mu powiedzieć po dzisiejszemu „dozorca”, lunąłby człowieka, jak pana poważam! Jakób, (który potem za dryndziarza własną dorożką jeździł), od węgierskiego i szampana aż zsniał i zakręglął się, jak fasa. Przyszedł do kuchni i resztki z butelek wytrąbywał. Komu na tem zależało, kto mu bronił i po co?

Pan radca uwierzy, schody prowadzące do gabinetów, dla prędkiego schnięcia, czystym spirytusem 95 próby co dzień się myło. Jakób to robił; lał do miski spirytus i szczotką tarł z mydłem. Jednej kropli na swoją potrzebę nie uiał, powiadam, jednej kropli. Madera wolał popijać, Xeres, Malagę, spirytusem gardził. Panowie mu po nocy, za odemknięcie bramy, pięciorubłówki ciskali.

Oj, bo też byli panowie: ś. p. dr. Roman Jasiński, ach, jak on opowiadał żydowskie kawały! Lub mecnas ś. p. K. J. Jasiński który rzadko kiedy nie mówił do rymu... Gdzie są te ś. p. prezesy, dyrektorowie, naczelnicy, radcowie... Wszystko poszło tam, gdzie się kończy kurs tramwaju powązkowskiego.. Było i niema! A ci nasi obywatele ziemscy, panowie z panów, przyjaciele i opiekunowie subiekta! A ci fabrykanci i przemysłowcy warszawcy!

Głowa cię na ten przykład (niby mnie) od odoru piwnicznego rozboleła. Już goście radzą pomiędzy sobą:

— Zbladł pan Paweł, nie uśmiecha się, talerze milcząc podaje, coś mu jest, pewnie ma zmartwienie, może mu kto w domu zachorował? Panie Pawle, co ci to? Może masz jaki dług? Może Lejbus lub Cynaderglik cię przyciskają? Zaraz palcem na ciebie kiwną... Nie wiesz jakim sposobem i porządkiem, ale czujesz, że ci w bocznej kieszeni u marynarki coś szeleści. Spoglą-

dasz dla ciekawości: papierki dziesięciorublowe, jest ich coś z dziesięć sztuk. A tu sam pan sędzia Stępkowski. pociąga cię za zielony parawan do swego kąta i mówi:

— Pan radca skarży się, żeś bez humoru. Cóż ci się stało? Żona ci zasląbla? No, masz tu setkę na doktora i zrób wesołą twarz, goście, uważasz, smutnych twarzy nie lubią.

Więc całymi nocami, homary nie homary odchodzą, koniaki, kawy czarne, likiery „dziejymordy”, różności. Uwijas się przy zamkniętych drzwiach frontowych, jak mucha w ukropie. Starszy subjekt pan Wysocki, który *perpetuum mobile* wynalazł (nie ruszało się to, bo nie miał czasu dokończyć) pcha cię tu, pcha cię tam... Ale były czasy, można było żyć i dobrze żyć! A dziś co? Dziś jest nic! Adiu się z panem dobrodziejem. Szkoła da psuć gęby... To dawnych czasów nie przywróci.

Najnowszy przykład deklinacji.

Liczba pojedyncza.

Mianownik: kto co jest na świecie? drożyna,
Dopełniacz: kogo czego pełno wszędzie? drożyny,
Celownik: komu czemu nie powinie się noga? drożynie,
Biernik: kogo co widzę dookoła? drożynę,
Wołacz: o! zgiń, przepadnij! drożyno!
Narzędnik: kim czym do zguby Polskę pchają? drożyną,
Miejscownik: o kim o czym wszędzie wrzeszczą bezpłodnie?
 [o drożynie.]

Liczba mnoga.

Nie! Do liczby mnogiej, darujcie, nie mam siły...



Dobosz śmierci.

Dohozem śmierci jestem ja,
 Od setek wieków świat mnie zna,
 Gdzie tylko wojny słychać huk,
 Gdzie armat trzask, napięty łuk,
 Gdzie rannych jęk, krwi rzeki, — tam,
 Ja werbel swój śmiertelny gram.
 Ucichłem nieco od dwóch lat,
 Gdy przestał wojny śmigać bat,
 Dziś ponad Renem wszczął się ruch,
 Na Niemca wyszedł Francuz zuch,
 I groźnie u Kłajpedskich bram,
 Więc werbel swój śmiertelny gram.
 Po świecie znowu krążę ja:
 Tra-ta-ta-tal Tra-ta-ta-tal
 Ludy! Zrywajcie się ze snu,
 Za strzelby chwycić! Spieszcie tu!
 Zaczyna się wojenny kram,
 Ja werbel wam śmiertelny gram.

Protokół ostatniego zebrania „Mędrców Syjonu“.

Pierwszy Rabbi. — Powiedz nam, Najmądrzejszy, kiedy wreszcie przyjdzie czas panowania Izraela nad gojami?

Drugi Rabbi. — Powiedz nam, powiedz, Najmądrzejszy! My przecież na to czekamy tyle lat!

Trzeci Rabbi. — Co my mamy robić, żeby to się prędzej stało?

Najmądrzejszy. — To już się stało.

Pierwszy Rabbi. — Co ty mówisz, Najmądrzejszy? My tego nie możemy zrozumieć!

Drugi Rabbi. — Przecież niema żydowskich cesarzy, żydowskich generałów, żydowskich prezydentów.

Najmądrzejszy. — A po co oni?

Pierwszy Rabbi. — Jakto poco? Żeby panowali!

Najmądrzejszy. — Czy trzeba koniecznie siadać na tronie, żeby rządzić?

Drugi Rabbi. Nu... nie.

Najmądrzejszy. — Nu, a jak wy myślicie, czy jak żydek namaluje na swoim szyldzie niedźwiedzia, to niedźwiedź rządzi sklepikiem?

Trzeci Rabbi. — Nu... nie!

Najmądrzejszy. — A po co on tego niedźwiedzia namalował?

Pierwszy Rabbi. — Dla reklamy!

Najmądrzejszy. — Ny, a po co żydek płaci 90 tysięcy na miesiąc gojowi, żeby dał mu nazwisko na szyld?

Drugi Rabbi. — Żeby goje u niego kupowali.

Najmądrzejszy. — Ny, a czy on przez to nie rządzi sklepem?

Trzeci Rabbi. — Uj, Najmądrzejszy! Ty masz a kepele! Teraz my się już nie będziem pytać, dlaczego niema żydowskich królów. Król to jest szyld.

Najmądrzejszy. — Ny, a jak wy myślicie o takiej spółce mieszkaniowej, jak jeden spółnik bierze salon, drugi kuchnię, trzeci sypialnię, a czwarty śpiżarnię. To kto rządzi tem mieszkaniem?

Wszyscy. — Uj, ten co ma śpiżarnię!

Najmądrzejszy. — A teraz ja się was zapytam, czy to nie wszystko jedno czy żyd zachruje po polsku, czy po żydowsku? Wszystko jedno! Przecież „Nasz Kurjer“ drukuje się po polsku. Un ma tylko — żydowski duch i to jest najważniejsze! A czy w Polsce nie jest wszystko z żydowskim duchem?

Drugi Rabbi. — Ja już trochę rozumiem!

Najmądrzejszy. — Powiedzcie, czy polski kupiec nie handluje po żydowsku? Czy polski polityk nie kręci po naszymu? Czy polska prasa nie wrzeszczy ze śliną, jak nasza? Czy polska publiczność nie lata do kabaretu, jak nasze kantorowicze? Ale to jeszcze nic! Powiedzcie mi czy wielka polityka europejska nie robi się po żydowsku? Wszystko już jest żydowskie, każdy goj jest żydem, chociaż nic o tem nie wie. Geszeft, spekulacja, naciąganie, wymyślanie, arogancja — wszystkie te nasze zalety panują na świecie. A goje — nysztu.

Pierwszy Rabbi. — Już my się nie pytamy, kiedy Izrael będzie panować nad światem. Izrael zoł leben!
Wszyscy. — Zoł leben! Mazeltopfl

Dumania mędrca wschodniego.

Bolszewik chciałby rozbroić świat cały,
Bo gdy już państwa oręż wyprzedają,
On wtedy z armją ukrytą w zanadrzu,
Tem łatwiej wszystkim zada fernepiksu.

Jest w Lechistanie gród Warszawą zwany:
W nim rajca miejski nie trafia do domu;
Pozmieniał nazwy ulic oraz placów
I sam już nie wie, jaki jego adres.

Tramwaj jest wielkim giaurów wynalazkiem
Lecz w urządzeniu ma ten mały feler,
Że zamiast ludzi przewozić raz po raz,
On ich raz po raz ze szczętem *przejeżdża*.

Przysłowia.

Kto pyta, ten nie błądzi, lecz zależy kogo,
Są takie odpowiedzi, co nas zgubić mogą...

*
Żeby kózka nie skakała,
Toby nózki nie zlamala.
Gdzież tu jest mądrości doza?
Któż ma skakać, jak nie koza.

*
Przyszła koza do woza, dodać zapomniano,
Że ten wóz nie był pusty, było na nim siano.

*
Baba z woza koniom lżej, bardzo dobrze radzisz,
Lecz lepiej pomyśl przedtem, nim ją na wóz wsadzisz.

Narada b. ministrów skarbu.

Koło jeziora,
Z wieczora,
Ministry w kolo biegali
I na markę czuwali.

Skoro tylko wypływała
Kamieniem w łeb dostawała,
A gdy ją już każdy w łeb potracił głazem,
Zebrali się wszyscy razem
Mówiąc: „Jeśli markę każdy trochę dobil,
Choć w pojedynkę to robil,
Co to będzie za skutek, gdy wspólnie rzucimy!
Nie przeżyje jednej zimy!“

A obywatel stojący tuż z boku
Rzekł im smutnie, ze łzą w oku:
— Panowie! Złe się bawicie.
Dla was to igraszka — nam idzie o życie!



Awantura w Kłajpedzie.

Ententa — Wątpię czy się ten pożar, choć mały, uda zalać wodą; armaty polskie prędzejby się przydały.



Okupacja nad Renem.

Francja. — Nie bój się, Niemcze! Ja chcę tylko uczynić szczyrykiem mały otwór w twoich pełnych workach.

Odpowiedzi od Redakcji.

Stalemu czytelnikowi. Niestety, Sz. Paniel Konstytucja nie zabrania nowoobranym posłom pisywania i drukowania artykułów, nie wymaga jednak, ażeby były rozsądne.

Literatowi. Zupełnie słusznie. Włochom mamy bardzo wiele do zawdzięczenia: primo: włoszczyznę królowej Bony (nieoceniona przyprawa do rosół!) secundo: futurizm Marinettiego, 3^o faszyzm Mussoliniego. Ale o makaronach, to Sz. Pan zapomniał, co?

Geografowi. Największe stopy rozpościerają się w Południowej Ameryce. Gdzie leży One Step — nie możemy panu wskazać.

Lingwiście. Fokstrot, főksterjer i foksal nie posiadają podobno wspólnego źródłosłowu. Zresztą, czy nie ma Pan innych zmartwień?

Oby Bóg dał.

— Paniel! Czy się pan nareszcie wyniesie z mojego mieszkania, w którym za jeden pokoiik płaci pan zaledwie 200,000 marek na miesiąc, bo jest taki, co mi daje pół miliona?

— Olaboga! To pani gospodyni chodzi jeszcze zdrowa po świecie?

— Dlaczego nie miałabym chodzić?

— Bo pan Anusz przecie ogłaszał niedawno, że zacnie wieszac paskarzy.

Pan Maciej polityk.

— Czytacie gazety, panie Macieju, zatem musicie wiedzieć o co właściwie chodzi Litwinom, że narażają się Entencie i przemocą wkraczają do Kłajpedy, która po niemiecku nazywa się Memel?

— O co chodzi litwinom nie wiem, ale to wiem, że Niemcom zależy, żeby kłajpedzian przerobić znowu na memelczyków.

Praktyczna rada.

— Człowieku, jestem w rozpacz. Poradz mi co mam robić wobec tej strasznie postępującej drożyzny?

— Mieć coraz więcej pieniędzy.

Od redakcji.

Redakcja „Muchy” poszukuje książki Jordana (Wieniawskiego) p. t. „Wędrówki delegata” i uprasza łaskawych czytelników o nadesłanie rzeczzonego dziełka wraz z podaniem należności, celem uregulowania.

Od administracji,

Szanowni abonenci, którzy wnieśli za kw. I b. r. mk. 2000 zechcą łaskawie dopłacić jeszcze po mk. 1000.